ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Marca — № 12. — Roku 1844.

„NIE ŹLI SĄ LUDZIE!“

(OBRAZ Z ŻYCIA)

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nie źli są ludzie!
Ten, temu brat, ten temu swat,
A już dobremu, to każdy rad!...

***

Od rana było parno i gromami ciężarne chmury zawisły nizko nad górami. Lipcowe przypiekało słońce, a człowiek opadał z sił i z myśli. O południu szukał każdy cienia i spoczynku, — w łazienkach było cicho, jak o północy. Wszystkie okna zapuszczone — wszystkie drzwi przymknięte. Ani przy źródle, ani na przechadzkach, ani przed gankami ozdobnych wiejskich domków, nie widać było człowieka, kiedyśmy z obiadu wracali do siebie. Środkiem malowniczéj górskiéj doliny przewijał się samotnie potok pomiędzy olszyny, szemrząc zcicha po kamieniach, a strzeżogą zadęte góry wznosiły się niemo po obudwóch stronach. Ponad świerkowym lasem przewijał się lotny rój jaskółek wróżących burzę i tylko przeraźliwy pisk kań przerywał czasem tę ciszę.

Oczekując burzy lub wieczornego chłodu, byliśmy dosyć licznie zgromadzeni w pomieszkaniu pana Maurycego powróciwszy z sali jadalnej. Jedni spoczywali na sofach i łóżkach, drudzy siedzieli przy stole, a wszyscy razem palili lulki i pili czarną kawę, albo wodę z sokiem. Rozmowa szła dosyć leniwo. Nie jednemu lulka zgasła, nie jeden zadrzémał. Tylko ja z panem Brunonem trzymałem się jeszcze dosyć rzeźwo, rozprawiając żwawo o wypadkach polityki dziennéj. Jednak że to po dobrym obiedzie, po czarnéj kawie i podczas gorąca, niknie zwolna nawet największa energija opozycyi, więc i my zgodziliśmy się w końcu na jedno i rozmowa cichła jak muzyka w coraz wolniejszych akordach...

Nagle obudziło nas uderzenie piorunu, który jak się zdało, tuż przy domu albo w dom ugodził. Okna były zapuszczone, więc nikt z nas nie wiedział co się na dworze działo; — silna burza nadciągnęła tymczasem i stoczyła się w dolinę, a razem z uderzeniem pioruna lunął dészcz rzęsisty.

Pan Brunon otworzył okno, — na pokój uderzył chłód rzeźwiący i wonny, a w niejakiém oddaleniu ujrzeliśmy wśród lasu, jak pochodnię płonącą jodłę, w którą był piorun uderzył.

Nawet umysł zupełnie martwy na wielkie sceny natury, nie może się wstrzymać od uwag na widok burzy, a cóż dopiéro na widok letniéj burzy w okolicy górskiéj, gdzie się ta gra odprawia z całą potężnością przyrodzenia, a cóż dopiéro w towarzystwie dobraném męzkiém, któremu tylko trochę chłodu brakowało do ożywienia umysłów i rozmowy na nowo.

Chłodu naniosła z sobą burza; z każdém nowém uderzeniem gromu rzeźwiło się powietrze i członki ociężałe w stawach nabiérały więcéj lekkości. Po dwóch godzinach ucichło wszystko, — niebo było znowu pogodne, śklącym zwirem połyskiwały ścieżki przed domami i wzdłuż przechadzek, suchą stopą można już było przejść wszędzie. Tylko spieniony potok, tocząc żółte bałwany, szumiał jeszcze gwałtownie. Białą parą dymiły góry i lasy, na każdym listku ociężały zawieszone krople....

Już tu i owdzie znikła zasłona u okna, okrywająca pokój toalety, już tu i owdzie zaświeciły piękne oczy z po-za zasłony ukradkiem, śledząc, czy się kto nie pokaże na pustym placu przechadzek. Tam otworzyła się żaluzyja, i ktoś wypędzał muchy gałązką na zieloną paszę, a przy kilku innych oknach rzeźwiły się chłodem poważne matrony.

Wdzięcznie uśmiechała się do wszystkich przechadzka po deszczu, ale nikt nie chciał być piérwszym. Bo to mówiąc między nami, nie zwykliśmy i w kąpielach utracać naszéj obywatelskiéj wstydliwości, i kiedy na całym świecie żyje każdy w kąpielach bez fasonów, jak mu się żywnie podoba, to u nas idzie wszystko trybem powszechnego obyczaju, jak na wsi we dworze lub w gościnie sąsiedniéj. I podobno to nie źle że tak jest.

Wątpliwość, czy wypada wyjść zaraz po deszczu i jaką obrać toaletę, stosownie do pory i chwili, wstrzymywała wszystkich w pokoju.

Lekarz łazienkowy z księdzem kanonikiem zjawili się piérwsi na przechadzce.

»I jakże komissyja zdrowia twierdzi?« zapytał pan Brunon przez okno — »czy już można wychylić się na świat?«

»Prosimy na konsylium!« odrzekł lekarz z daleka, i jakoż wziąwszy po parę cygarów, wysypaliśmy się wszyscy z pomieszkania pana Maurycego, a za nami wyszło coraz więcéj mężczyzn z swoich komórek, i plac przechadzek ożywiał się z każdą chwilą więcéj; w długich szeregach trzymając się po-pod ręce, kłanialiśmy się w przechodzie naprzód paniom stojącym u okien; chwilkę późniéj przerwały się te łańcuchy, a przed każdém oknem zatoczono małe kółko lekkiéj pogadanki o deszczu i burzy; a nieco późniéj jeszcze, pojawiały się panie w burnusach, w ciżemkach, w wielkich chustkach i przechadzały się naprzód tylko małym krokiem po korytarzach i gankach, a potém wciągnięte w rozmowę, w coraz większe koło wysunęły się przed ganki i uplotły zwolna razem z mężczyznami długie ruchome łańcuchy, które zajęły całą szerokość przechadzki.

W mieście dostarcza przedmiotu do rozmowy nie bardzo zabawnéj: teatr, gazeta i moda — na wsi urodzaj, pogoda i droga, a w kąpielach wzbogaca się jeszcze ten zapas rozmową o źródle i łaźni.

»Ile pani kubków pija? — Jak służą wody? — Skutki tych wód są prawdziwie cudowne. — Dziś dla wilgoci kąpiel przerwana. — Co to była za burza, co za pioruny!« Słowem każdy zaczynał wykrzyknikiem o burzy, lub kwestyjami o źródle, o zdrowiu i wodach, a kończył na piorunach. Panie mówiły o swoim przestrachu i spazmach, ale wszystkie wyglądały świeżo i rumiano.

Nadeszła godzina herbaty. Z wysokiego balkonu, który góruje w lesie nad całą doliną łazienek, ozwały się wdzięczne głosy muzyki wieczornéj i płynęły ponad głowami naszemi, ślizgając się po wierzchołkach smukłych jodeł, przysiadając na chwilę pod sklepieniami cienistych buków, płynęły one wzdłuż doliny, ku odległéj wiosce. Pora nęciła jeszcze do przechadzki, ale godzina herbaty ma także swoją ponętę; powoli znikały panie, rozplatając znowu te długie ruchome łańcuchy, żegnając ulotnym uśmiechem.

Przed jednym domkiem postawiono w ganku stolik nakryty, a przy nim zajęła miejsce poważna pani Krakowska z swoją piękną wnuczką. Kiedyśmy przechodzili koło ganku, zaproszono nas na herbatę.

»Pani dobrodziejka dajesz bardzo piękny przykład« — rzekł do niéj pan Brunon — »nie wiem dla czego te panie uciekają na herbatę do domów, kiedy tak miło na dworze?«

»Ja jako stara pozwalam sobie;« rzekła pani Krakowska, »nie mogę sobie odmówić téj przyjemności, do któréj przywykłam, mieszkając tak długo na wsi. Lato jest u nas tak krótkie, że z każdéj chwili należy korzystać, a ja nie mam już wiele czasu do stracenia w mym wieku. Zazwyczaj niemożna tu pić herbaty dla much, ale dziś tak chłodno i miło. Zresztą gdy siedzę w pokoju, to nikt nie przyjdzie do mnie, a tutaj złapałam was przecie! no siadajcie!«

Ledwo żeśmy zasiedli ławki w ganku i stołki, które z pokoju podano, a jużciż wyniesiono drugi większy stół i postawiono obok nas. Przykład pani Krakowskiéj wyprowadził także i jéj sąsiadkę na ganek z her-

bata. Zaproszono nowe grono przechodzących mężczyzn, przybyło także i dam więcéj, a między témi uderzała szczególniéj pani Julija, osoba pięknego wzrostu i kształtu, uprzejma nadzwyczaj, pełna dowcipu i towarzyskiéj wesołości. Rzadko widywano ją w łazienkach, bo mieszkała na wsi; tą razą przybywszy, ożywiła rozmową całe grono. Przy herbacie tedy bawiono się bardzo dobrze i układano różne projekta wycieczek na okolice, która ma wiele zajmujących widoków, ruin, starożytności i pamiątek narodowych. W towarzystwie znalazło się kilku mężczyzn, którzy dobrze znali okolicę, i przewodniczyć w tych wyprawach przyrzekli, a nawet starsze damy, dały się nakłonić do zwidzenia kilku miejsc kolejno po sobie. Ułożono jeden ranny obiad w lasku, obok jaskini, o milę, gdzie niegdyś mieszkał mąż święty, pustelnik. Jeden podwieczorek chciano wyprawić na ruinie starożytnego zamku, a jednę przejazdkę ranną o wschodzie słońca do poblizkiego miasteczka, gdzie się w kościołach znajdują starożytne nagrobki i groby. Tam układano sobie być naprzód na mszy świętéj, a potém na śniadaniu w klasztorze. Przeznaczono dzień na każdą wyprawę, a młodsze panie przystały na każdym dniu, wyjąwszy balowe.

Wtém dał się słyszéć w oddaleniu turkot ciężkiego powozu, który się z wysokiéj góry spuszczał krętą jak wąż drogą ku głębokiéj dolinie łazienek. Piątką siwoszów powoził z konia krakowiak, na koźle siedziała obok służącego dama welonem zakryta, karéta była ciężko ładowna, za nią szła kuchnia z tłumokami i służba. Powóz stanął przed łazienkami w niejakiém oddaleniu, i oczy wszystkich zwróciły się nań.

»A wiécie państwo,« rzekł nasz trefniś, »to jakieś Angielczyki! — bo jak się za granicą zdarzy widziéć Angielczyków w podróży, to zawsze jakaś dama siedzi na koźle.«

Na to rzekł pan Brunon: »Potrzeba téż bardzo przez szkiełko na świat patrzyć i bardzo po zagranicznemu, ażeby tę karétę i podwodę brać za Angielczyków. Wszakże pan widzisz, że to są konie w krakowskich chomątach; ten parobczak z pawiem piórkiem u czapki, nie bardzo także wygląda na żokeja!«

»Panie Marcelli,« rzekła jedna z pań, »dowiédz się nam z łaski swéj, kto to taki?« —

Powóz przybyły otoczyła tymczasem łazienkowa rzesza: jako to: pisarz, odźwierny, służba od pokoi i gościnnych stołów, nawet muzyka spuściła się z wysokiego balkonu na powitanie nowo przybyłych gości.

»Któż to taki?« zapytało kilka głosów razem, za powrotem pana Marcellego.

»Nie wiém! ale że nie Angielczyki to pewna. Jedna z tych pań nie może jechać w zamkniętym powozie, i dla tego siedziała na koźle. Jadą z Rzeszowskiego, i kiedy Rzeszów mijali, stało całe miasto w ogniu, do 200 większych i mniejszych domów zgorzało już, a kto wié, czy całe miasto nie spłonie, bo wiatr mówią był bardzo wielki.«

»Co, Rzesów! — Rzeszów!?« zawołało kilka głosów razem, »Rzeszów zgorzał? Rzeszów się pali?« — i wieść biegła z ust do ust coraz daléj i obiegła w jednéj chwili całe łazienki. Jakieś przerażenie odbiło się na wszystkich twarzach, i całe towarzystwo, przy herbacie, przed chwilą tak ożywione, posępiało nagle. Z twarzy panienek znikł uśmiéch, młodzież straciła towarzyską obrotność, nie jeden ze starszych westchnął, wspomniawszy własne klęski dawniejsze lub świéże; — przez chwilę trwało milczenie.

»Cóż to?« zapytała jedna z młodszych pań — »czy anioł przeleciał nad nami, że tak całe oniemiało grono?«

»Tak jest,« rzekł pan Maurycy ponuro — »anioł przeleciał, ale anioł nieszczęścia! W chwili, kiedy my tutaj tak spokojnie i miło używamy tego wieczora, ileżto tam przerażenia na pogorzelisku, ileż łez nie płynie....!«

»To rok przygodny!« rzekł ksiądz kanonik poważnie — »uważajcie tylko asaństwo dobrodziejstwo, czy aby tydzień przeminie w tym roku, w którymby nam nie donosiły gazety o jakiém nieszczęściu? Zdaje się, iż są lata klęskami nacechowane, w których ludzie więcéj lub przynajmniéj głośniéj cierpią.«

»Prawda!« przyznało mu kilka głosów razem.

»Hamburg!«

»Wersalsko-paryzka koléj żelazna!«

»Waszawa!«

»Trzęsienia ziemi!«

»Okręta spalone!«

»Statki i spławy zatopione!«

»Powodzie, pożary.«

»Biedne Lisko!« dodał ktoś w końcu.

»Jeszcze gdzieindziéj, idzie to jakoś łatwiéj,« mówił ks. kanonik. Ludzie ratują ludzi w nieszczęściu. Jakieżto summy wpłynęły na rzecz pogorzelców Hamburga! U nas możnaby połową a nawet czwartą częścią tych pieniędzy z gruntu nowe odbudować i uposażyć miasta.«

»Ale racz się ks. kanonik zastanowić,« rzekł nasz trefniś, »że między Liskiem, Rzeszowem a Hamburgiem, wielka zachodzi różnica. Nieszczęście Hamburga więcéj obudza sympatyi, bardzo naturalnie, bo Hamburg położył większe zasługi około cywilizacyi całéj Europy. Jest to jedno z najstarszych miast hanzy, a Lisko,

a Rzeszów, jakież ona zasługi w oczach Europy i cywilizacyi?«

»Mój ucywilizowany panie!« rzekł ks. kanonik, i nieszczęście ma swoje prawa, a uczucie ludzkości jest podobno starsze jeszcze od hanzy i cywilizacyi europejskiéj! — W coby się obróciło serce ludzkie, gdyby tylko historyczna przeszłość dawała prawa do niego? Z resztą któż to wp. powiedział, że nasze małe miasteczka nie mają historyi? Ot, toż samo Lisko, o którém wp. z taką pogardą mówisz, wiele przypomina temu, co zna historyję. W tym zamku mieszkał Piotr Kmita, ztamtąd wyprawił do Rzymu Janickiego, gdzie po Tybulu odziedziczył laury niezwiędłe. W tym zamku wychował się sławny Djabeł Stadnicki; w tym zamku chronił się Orzechowski, nim mu ojciec ś. w Rzymie przebaczył winę jego. W tém Lisku stał obozem Karol XII. i w kościele leży tam pochowany ów brat Kazimiérza, Franciszek Puławski, który pod Hoszowem został ranny, a w zamku Liskim złożony w domu pod ówczas pani wojewodziny Osolińskiéj, z ran zakończył życie. I o Rzeszowie dałoby się powiedzićć nie jedno, a może jeszcze i coś więcéj niżeli o Lisku. Jednakże to mało kogo bawi, dam pokój. Mam to przekonanie, iż nie z sympatyi i nie z miłości dla Hamburga wpłynęły podobno te sumy, ale z poznania interesu własnego. Stary to żydowski rozum, nie odstępować dłużnika, kiedy znaczną poniósł stratę, tylko go nanowo założyć pieniędzmi, aby się zapomógł, aby się czegoś dorobił, dług dawny i nowy odrobił i oddał z lichwą. Ja tak pojmuję tę cywilizacyję waszą! Z resztą nie robiłem porównania, ale podług stawu grobla. Biédne to i małe wprawdzie, ale nasze. Tam potrzeba milijonów, tutaj wystarczyłyby krocie. Z jałmużnycto wszakże i z małych datków największe w świecie błyszczą dziś kościoły. Gdybyśmy istotnie czuli nieszczęście bliżnich, i nie chcieli mierzyć klęsk, jakie świéżo poniósł nasz kraj przez pożary, piędzią cywilizacyi europejskiéj, czyliżbyśmy na nogi nie mogli postawić Rzeszowa i Liska? nawet naszemi małemi funduszami? — Ale....« i tu umilkł marszcząc brwi.

Pani Julia składając ręce pokornie, prosiła z dziwną słodyczą: »Niech ks. kanonik dobrodziéj mówi daléj, my nie jesteśmy serc zatwardziałych!«

»Mościa dobrodziéjko!« rzekł ks. kanonik wstając, »zapomniałem się i przepraszam, miejsce moje mówić z ambony, przy herbacie są panie daleko wymowniejszymi apostołami. Skłonił się z-lekka i odszedł.

Nasz cywilizowany pan stał pomieszany nieco i rzekł po chwili: »Żurnal jaki mógłby zapewne ogłosić subskrypcyję na korzyść pogorzelców. Bo takie rzeczy należy robić porządnie, jednak jak mówią, żydowskie nasze miasteczka nie wzbudzą osobliwszych sympatyj, i nic się nie zbierze, albo bardzo mało.«

Na twarzy pani Julii malowała się już od dawna niecierpliwość, którą zaledwie pokryć umiała, tak dalece obrażała wszystkich ta ucywilizowana niby figura naszego trefnisia. Rzekła tedy: »Żurnalu nie wydajemy wprawdzie tu w kąpielach, więc zdaje mi się, że nam to będzie przebaczone, jeżeli uchybimy przeciwko etykiecie cywilizowanego świata, nie ogłaszając subskrypcyi, ale że porządnie rzecz pójdzie, to jest: że się więcéj zbierze, niż wp. sadzisz, za to ręczę mu;« a powstając zwrócona do mężczyzn dodała krótko: »Panowie nie odmówicie nam waszéj pomocy, zrobimy fantową loteryję i damy bal!« — To rzekłszy wysunęła się z ganku, a za nią ruszyło całe grono na wieczorną przechadzkę. Nasz trefniś tylko pozostawszy z przyjacielem swoim, rzekł do niego: »To osobliwa jakaś kompanija! Kanonik exprobruje, a kostyczne panie biorą się do filantropii! Dopóki przemawiały na sucho, to jeszcze pół biédy, ale one wezmą się teraz z miłości ku cierpiących do cudzego worka. Nudna to dziura te kąpiele!« —

»Rosół z pietruszką... sztuka mięsa biała z chrzanem... towarzystwo w szarych rękawiczkach... wisk tani i spać się idzie o dziewiatéj... Cóż sądzisz? mnie się zdaje, żeśmy się już dosyć i nakąpali i napili téj wody, czas pono wyjéżdżać, bo tutaj rozpoczną się teraz bardzo niezabawne historyje....«

*

»Hola, moi panowie!« zawołał wójt gromady kąpielnéj, wchodząc do sali, kędyśmy się zebrali do wieczornéj przechadzki na lulki — »a co to gromada radzi bez wójta? — ja zająłem się pomieszczeniem tych pań, co wieczorem przyjechały, z których jedna biédaczka bardzo jest ciérpiąca, a wy tu układacie jakieś projekta bezemnie?« — i śmiejąc się, przysiadł się do nas na chwilę.

»Kochany wójcie!« rzekł pan Maurycy — »zaimprowizowaliśmy tutaj projekt fantowéj loteryi i balu na korzyść pogorzelców, ale kiedy przychodzi przybrać się do rzeczy, to chciéj kochany wójcie, nią pokierować, a my wypełnim wszystko, co każesz.«

»Wiém o wszystkiém,« rzekł wójt; »bo idę od pań. Jutro proszę na kawę rano, tam złożym walną radę. Bo ja po dniu radzić lubię, i rano, nie wieczór; a teraz dobranoc wam!«

Słusznie byłoby, gdyby się wójt nawet był i obraził tém, że go pominęli, lubo to się nie stało z umysłu. Był to zacny i poważny obywatel, osiadły o kilka mil w sąsiedztwie, a od czasu prawie, jak te kąpiele otworzono, zjéżdża on rokrocznie zazwyczaj już w czerwcu, bawiąc tam przez lato, więcéj dla towarzystwa niż dla zdrowia, i jest w całém znaczeniu tego słowa, honorowym gospodarzem tych kąpiel, od całéj gromady kąpielnéj poczczony rok-rocznie poważnym tytułem wójta. Przybywających wita on, umieszcza, oprowadza i gości każdego, póki go nie zagospodarzy i nie zapozna miejscowo. Łatwy w pożyciu, młody z młodymi, ze starymi stary, dla wszystkich uprzedzający, umié on pobłażać i karcić zcicha, gdy tego potrzeba, i rządzić miłością i lekką ręką gromadę. Przybywszy tam do kąpiel, nié ma trudności w zapoznaniu się z drugimi; nie potrzeba myśléć o tém, komu się przedstawić wypada i kogo prosić, by cię oprowadził po domach, lub czy dobrze z tém będzie? — Wójt bez wyjątku oprowadzi cię od domu do domu, od kołka do kołka, i możesz być pewnym dobrego przyjęcia. Wójt kieruje zabawami, balami, godzi muzykę, urządza partyje, projektuje wycieczki, układa pary, daje tancerzy, godzi i skupia całe towarzystwo. Nikt nie jest tam zgoła zapomniany, nikomu nie ubliżą, każda dama jest wprowadzoną do sali lub na przechadzkę, każda wsadzoną do powozu, lub odprowadzona z kawalerską grzecznością do domu. W każdym domu jest też wójt choć na chwilę codzień, a jak kto słaby, to już ojcowskie ma o nim staranie. Nigdy nie dopuści, ażeby zabawa przeszła granicę umiarkowania; to też nie przychodzi do otwartéj nieprzyjaźni, lub spraw honorowych między mężczyznami, bo już najleksze nieporozumienie umié on złagodzić i rozbroić kilką słowy, lub ściśnieniem ręki, jak zaklęciem. Słowem, jestto człowiek staropolskiego poczciwego serca, który wszystko zna i uważa za swoje i miłe sobie, co go tylko otacza.

Takie świadectwo dawało mu całe towarzystwo w jadalnéj sali zebrane, gdy się udał na spoczynek. Nazajutrz, gdyśmy się w pomieszkaniu jego zebrali na kawę, po rannéj przechadzce ułożono cały projekt fantowéj loteryi i balu. Wójt został po staremu wójtem i zagaił posiedzenie. Pan Maurycy został obrany podskarbim. Dwóch panów Marcellich zostało pisarzami i przyjęli na siebie obowiązek pisania listów i losów. Ja obrany zostałem kanclerzem i objąwszy wielką pieczęć wójta, odciskałem ją na każdym losie, na każdéj kopercie. Pana Jakóba i Józefa, znajomych w sąsiedztwie, wyprawiono jako posłów na okolice za zbiéraniem fantów i rozporządzeniem losów. Pan Jan, młody krakowianin, miał dostarczyć cukrów dla dam, pan Brunon pomarańcz i innych owoców, a poczciwy pan Tytus obiecał dostarczyć kwiatów na bal ze swego ogrodu, jako najbliższy kwiecisty sąsiad. Jak w starożytnym niegdyś Babinie, rozebrano urzędy i nadano godności. Nie upłynęło dwóch godzin, a wszystko było już w ruch wprawione, listy i losy, posłańce i posły. Rozesłano zaprosiny na bal i wezwanie do składki fantów. Dwudziestu było nas przytomnych, każdy wziął po dziesięć losów, resztę rozesłano po dworach i po poblizkich miasteczkach. Gdyśmy się już rozchodzić mieli, wszedł do pokoju kapitan od huzarów, poczciwy stary żołniérz znad Dunaju, lubiony bardzo w całém towarzystwie. Wziął losy dla całego korpusu oficérów swojego pułku i zapłacił je z góry, upewniając, że się w czasie z kolegami policzy — a jako Węgier, przyjął niewzięty dotąd urząd piwniczego i obiecał dostarczyć na bal starego węgrzyna. Potém udali się urzędnicy nowego Babina z wójtem na czele w deputacyję do pani Julii, która dniem wprzódy wniosła była piérwsza projekt fantowéj loteryi i balu na korzyść pogorzelców. Pani Julija przyjęła na siebie urząd kwestarki i sama dobry zrobiła początek, dawszy z pół kopy fantów i piękny haftowany dywan własnéj roboty. Z nią razem puścili się wójt i podskarbi po kweście od domu do domu, zbiérając fanty. Łatwiéj było opłacić się paniom, bo na każdéj toalecie, na każdém okienku, stało już jakieś cacko na ten cel przeznaczone — ale co tu wziąć od panów? — Pieniędzy i cygarów nie przyjmowano. Szczęściem doniósł ktoś, że właśnie w téj chwili przybył Czech z pięknémi krzyształami do kąpielowego bazaru; więc łakomo rzucili się mężczyźni na jego śklanne i nieśklanne cacka; w mgnieniu oka pozbył się wszystkiego, i jak sądzę, nie po złéj cenie.

Najgorzéj wyszedł pono na téj kweście nasz trefniś. Widząc że się na filantropiją zanosi, umyślił cichaczem opuścić kąpiele. Wójt dodowiedział się o tém i wyprawił do niego najpiękniejsze trzy panie, prosząc ażeby go ukarały za to. Tak też się i stało w istocie. Wpadły do jego pomieszkania, a kiedy się wymawiał, że nié ma nic do dania na fant, choć mnóstwo cacek leżało na stole, wzięła mu jedna z pań dużą śrébrną naléwkę.

»Na Boga!« zawołał truchlejąc. »*Mais Madame ce n'est pas argent platé!* Ta nalewka jest do garnituru, ja jéj odstąpić nie mogę!« —

»Tém lepiéj kiedy śrébrna, bo to dla biednych!« rzekła mu druga, i w mgnieniu oka

znikły z pokoju i skoczyły do powozu, a kiedy później przyszedł nasz delinkwent z bardzo pokorną miną, ofiarując wykupne za tę naléwkę, drogo ją opłacić musiał, i dał pono więcéj i ze wstydem, dając niechętnie, niż ci wszyscy co się nie usuwali od datku.

Kiedyśmy kwestując po całych łazienkach, podchodzili ku źródlu, ujrzeliśmy tam księdza kapucyna, sławnego ogrodnika i lekarza, znanego w całéj okolicy z bonomii kwestarskiéj.

»Jakże pani dobrodziéjka każesz, czy mamy pominąć ojca lekarza?« zapytał pan Maurycy kwestarkę.

»Dajmy mu pokój,« rzekła, »wszakże oni sami żyją po największéj części tylko z dobrodziejstwa drugich.«

»Nie, nie daruję mu!« mówił pan Maurycy, »niechaj sobie choć na dzień jeden odmówi tabaki.«

Ostatnie słowa zda się posłyszał ojciec lekarz, a pan Maurycy rzekł podchodząc ku niemu z kwestarką: »Zbiéramy dary na wsparcie pogorzelców Liskich i Rzeszowskich, a co łaska, oto prosim.«

»I cóż ja wam dam? — Ktoźto zechce wygrać kapelusz słomiany, kostur kwestarza lub różaniec? — a tylko to mam na zbyciu. Bo kapturem mogę nakryć głowę, o kostur nie trudno, korónkę odmówię na pamięć, a różańce umiém sam toczyć. Śmiejesz się bratku? — słyszałem ja, słyszałem, jak mojéj przymawiałeś tabace, niechajże i tak będzie!

Kiedy złodzieja okradną złodzieje,
W ówczas się zły duch i cieszy i śmieje!
A kiedy biédny biédnego ratuje,
To Bóg się wielki w niebiesiech raduje!«

To rzekłszy, dobył ogromną tabakierę z-za rękawa, otworzył ją, poczęstował wszystkich, zażył sam i rzekł: »A teraz raczcie się państwo dobrodziejstwo przypatrzyć téj tabakiercel«

Wiérzch tabakiery był ze słoniowéj kości, misterną rzeźbą przyozdobiony, która wyobrażała poważnego braciszka oo. kapucynów, pędzącego baranki przed sobą, — w dali było widać kościółek i klasztor, góry i lasy. Ozdoby drobne po krańcach téj tabakiery, nosiły na sobie cechy starożytności; rzeźba była prześliczną. Tabakiera szła z rąk do rąk, znaleźli się i znawcy.

»Sto przeszło lat przechowała się ta tabakiera w naszym klasztorze, a ja mam ją po zmarłym przyjacielu. Jednak że mnich nié ma żony ani dzieci, a klasztor przy bożéj opiece nie zgorzał, a przy łasce pobożnych dobrodziejów blachą jest pokryty: daję tabakierę, jednak nie na fant tylko temu ją dam, kto zechce dać za nią najwięcéj na biédnych.«

»Brawo, licytacyja!« krzyknęli mężczyzni, których grono powiększało się z każdą chwilą przy źródle.

Ojciec lekarz podniósł tabakierkę w górę, i zawołał donośnie: »Kapucyńska tabakiera! notabene bez tabaki! dukatów pięć! kto poprawi?«

»Sześć!« —

»Siedm!«

»Dziewięć!« krzyknął ktoś inny.

Wyszła w końcu do dziesięciu. Młody pan Jan, krakowianin, który ją zalicytował, złożył w ręce podskarbiego dziesięć dukatów, odebrał tabakierę i rzekł do ojca lekarza:

»Nie śmiałbym obiérać i klasztor i przyjaciela z tak drogiéj pamiątki;« i oddał ją na powrót ojcu lekarzowi.

»Ślicznie!« mówili panowie. »Bardzo szlachetnie!« mówiły panie, a ojciec lekarz spojrzał mu w oczy z uwagą, jak gdyby chciał zachować pamięć tych rysów, ścisnął go potém za rękę z rozrzewnieniem i rzekł: »To mi przybyła do niéj widzę jeszcze jedna pamiątka i bardzo zacna!« Lecz zaraz znowu wpadając w dawny ton swobodnéj wesołości, dodał: »A asańśtwo dobrodziejstwo, kiedyście tacy poczciwi, to zażyjcie tabaczki!« i otworzył znowu tabakierę, poczęstował wszystkich, czy chcieli, czy nie chcieli, zażył sam i rzekł: »Chcieliście zażartować ze starego kwestarza, co to z niejednego pieca chléb jadał, ale nie udało się! Trzeba było pamiętać o tém, że: biédnego nie proś o względy — gołego nie proś o grosz — a biédy nie budź, kiedy śpi! — Panu Bogu oddaję!« Skłonił się i odszedł. — Pani Karolina, u któréj składano fanty, chcąc wszystkim razem podziękować, imieniem nieszczęśliwych za ich dary, zaprosiła całe towarzystwo kąpielowe na zabawę wieczorną, a że wszystkie pomieszkania były za małe na pomieszczenie tak znacznéj liczby osób, przeznaczono na ten cel salę balową.

Od licytacyi kapucyńskiéj tabakiery, weszły licytacyje w modę. Kiedyśmy się po obiedzie zgromadzili w pomieszkaniu wójta, puścił tenże na licytacyję piękną haftowaną poduszkę, którą nam kwestarka była darowała, gdyśmy ją odprowadzili do domu. Trzy razy była wystawioną na licytacyję; każdy kto ją wystawiał, puszczał ją na powrót. Ostatnim licytantem był wójt, a dobiwszy, rzekł: »Basta, moi panowie, za dni kilka będzie poświęcenie tutejszéj kaplicy, i do niéj przeznaczam tę poduszkę.«

Ktoś żądał cygara. »Nie dam ci go darmo, zapłać go pogorzelcom;« rzekł drugi, i żądający musiał licytować cygaro.

»A, kiedy tak,« rzekł wójt, »to i ja nie dam wam nic darmo. Macieju! Od téj chwili aż do przyszłego balu nie dasz żadnemu panu ani her-

baty, ani kawy, ani poziomek, ani lulki, ani cygara, ani żadnéj rzeczy, która jego jest, jeżeli na tacę tę nie rzuci przynajmniéj jednego śrebrnika!«

»A, kiedy tak, to i ja nie dam nic darmo!« zawołał pan Maurycy, »i puszczam buty na licytacyję.«

»Jakie buty? — Co za buty?« zapytano.

»Moje buty! całe, dobre;« rzekł pan Maurycy, »te buty, co ma pan Tytus na nogach.«

Gdy śmiéch powszechny ustał, wyjaśniła się po chwili rzecz: pan Tytus, który od siebie dniem wprzódy na krótką tylko chwilę przybył do łazienek, wybrał się letnio, burza naprzód, a potém bałamuctwo nasze, zatrzymało go na noc; musiał się tedy przebrać po dészczu, i wziął cudze, miasto swoich lekkich trzewiczków. Oczywista rzecz, gdyby był kto inny zalicytował buty, byłby został boso, pędził tedy w górę współzawodników, żeby przynajmniéj boso nie powrócić do domu.

Tak powiększała się żartami, lecz nie na żarty z każdą chwilą kupka papiérów i srébra na tacy, a próżniacka poobiednia gawędka przecież się choć raz w życiu nadała do czegoś dobrego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 12. i obejmuje: 1) Sucha zgnilizna ziemniaków, i najpewniejszy środek, zapobiedz téj nieuleczonéj chorobie; przez Ferdynanda Stiebera, reprezentanta dominikalnego w Andrychowie, korespondującego członka wielu towarzystw naukowych. 2) Uwagi nad surogatami paszy i podściéli. 3) O léczeniu księgosuszu bydlęcego, przez J. Żywickiego. 4) Gospodarstwo leśne w połączeniu z polowém; przez K. J. Turowskiego. 5) Przepis czyszczenia miodu praśnego i użycia go do konfitur lub miodu do picia. 6) Środek przeciw śnieci w orkiszu.

Z Warszawy. *Biblioteka Warszawska* na miesiąc luty zawiéra: 1) Rzecz o magnetyzmie ziemi, podług Bessla, przez J. Baranowskiego. 2) O związku, zachodzącym między historyją polityczną a historyją literatury, przez F. H. Lewestama. 3) Drogi żelazne w Europie, opisał W. Kolberg. (Polska i Rosyja). 4) Sceny w różnych miejscach p. Ambroz. Ambrozkiewicza. 5) Poezyje. 6) Praktyczny rozbiór pisma Józefa Kremera: Listy z Krakowa, p. A. Tyszyńskiego. 7) O uznaniu dzieci naturalnych ze strony ojca, p. J. C. S. 8) Rozmaitości. 9) Kronika literacka. 10) Kronika zagraniczna. 11) Kronika bibliograficzna. 12) Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc grudzień.

Jenerał Bernadotte i wróżka. W roku 1804 zamierzał Bernadotte, będący naówczas jenerałem w służbie rzeczypospolitéj francuzkiéj, udać się do Ameryki. Został właśnie mianowany ambassadorem w Washingtonie. Gdy już wraz z żoną, synem i adjutantem Gerard (dzisiejszym marszałkiem Francyi) wyjeżdżając z swojego mieszkania La Grange, aby wsiąść na okręt do Ameryki, żegnał się z tą piękną majętnością, rzekł pułkownik Gerard do niego: »Nie wierzę jeszcze, abyśmy w saméj rzeczy wsiadać mieli na okręt.« — »Jakto?« zapytał Bernadotte — i dopiéro opowiedział mu pułkownik, iż za pośrednictwem jakiéjś swej krewnéj, zrobił znajomość z pewną starą, mądrą kobiétą, która powszechnie ze swojéj wiedzy tajemnic przyszłości słynie. »Zapytaliśmy ją,« mówił Gerard, »czy też wrócę kiedyś do Francyi, naco ta nowa Pytia odpowiedziała: »Nie tylko że ani pan ani pański jenerał na okręt nie wsiędziecie, ale prędzéj obaj do Paryża wrócicie, niźli się spodziewacie.« Całe nasze towarzystwo uśmiało się serdecznie z téj bajeczki; w Roszeli jednak dowiedział się jenerał, iż dniem przedtém otrzymana telegraficzna depesza przygotowanéj dlań fregacie inne przeznaczenie nadała.« — »Zaczyna się już sprawdzać,« rzekł Bernadotte ze śmiéchem, »co nam paryzka Sybilla przepowiedziała, ale niebawem nadejdzie drugi przeznaczony już dla nas okręt i obróci w niwecz proroctwo.« Lecz i ten statek został do jakiejś nagłej wyprawy przeciw St. Domingo użyty, a dla jenerała Bernadotte przeznaczono inną fregatę, która tymczasem jeszcze była w naprawie w Rochefort. Nareszcie ją przecie przyrządzono i miano już odpłynąć do Ameryki. Wtém wchodzi komendant miasta i przynosi jenerałowi listy z Paryża, a oraz *Moniteura*, zawiérającego wypowiedzenie wojny między Angliją a Francyją. »Aha,« zawołał Bernadotte, »wróżka ma przecie słuszność! Mamy wojnę i weźmiemy się znów do oręża!« W godzinę późniéj znajdował się dzisiejszy marszałek Gerard w drodze do Paryża, niosąc piérwszemu konsulowi życzenia swego jenerała w tym względzie. Tak ujrzał Bernadotte La Grange i Paryż znowu. Piérwszy konsul przyjął go jak najuprzejmiéj, bo przy wszelkiéj swéj nieufności ku jego zadowoleniu z nowego składu i obrotu rzeczy, nie przestał nigdy uważać go za człowieka zdolnego do wykonywania wielkich przedsięwzięć. Jenerał i adjutant przypomnieli sobie znowu wyrocznię wróżki. Postanowiono udać się jeszcze raz do niéj, bo rok 1804 brał taki dziwny w istocie obrót, iż najrozleglejsze pole otwierało się wszelkim wyrokom wróżby. Pewnego dnia i o pewnéj godzinie, jaką kapłanka Apollina, inaczéj kabalnica, oznaczyła, wstąpił Bernadotte ze swoim adjutantem, obaj przebrani, do jakiegoś nędznego domku. Pułkownik przedstawia swego przyjaciela jako majętnego kupca, który w różnych stronach Niemiec znaczne handlowe przedsięwzięcia rozpoczął i radby się dowiedział od niéj, czy mu się też powiodą. Stara wróżka wpatrzyła się w jenerała z wyrazem niedowierzania, rozkłada swoje tarokowe karty, zdaje się być wkrótce pogrążoną w dumaniu, i zachowuje długo głębokie milczenie. Nakoniec podnosi oczy i zwraca je na jenerała. »Wpan nie jesteś kupcem, mój panie; jesteś wojskowym i nawet wysokiego stopnia.« Na przeciwne zapewnienie swych gości, kiwa z uśmiechem głową i mówi daléj: »Jeżeli tak więc, i wpan w saméj rzeczy w handlowe spekulacyje się wdajesz, tedy masz wiedzieć, iż ci się takowe nie powiodą, i że się będziesz musiał zrzec ich, aby tą drogą postępować, jaką ci pomyślniejszy los kréśli.« Bierze nanowo karty, przegląda je powtóre, i zdaje się w najgłębszą uwagę nad ich znaczeniem zatapiać. — »Mój panie,« mówi po chwili, »wpan posiadasz nie tylko wysoki stopień wojskowy, ale jesteś nadto krewnym cesarza, albo nim będziesz.« — »Jakiego cesarza?« zapytali razem obadwaj. — »Chcę mówić piérwszego konsula — lub téż — tak — tak jest — wkrótce wstąpi on jako cesarz na tron Burbonów.« Palce jéj biegają teraz po kabalistycznych znakach, któremi cały stół jest pokryty, nowe jakieś widzenie świta w jéj duchu; zdumiona woła: »Tak jest, będzie cesarzem! Lecz tutaj jakieś chmury, które was rozłączają.« Bernadotte rzuca potajemnie wzrokiem porozumienia na Gerarda. Wróżka ciągnie daléj: »Nieczuję wszakże żadnéj niechęci ku panu — pan jesteś nawet przywiązanym do niego. — — Ha, jak jego gwiazda wysoko wschodzi!« Nagle urywa stara wróżka, a chuda jéj postać zdaje się jeszcze rosnąć podziwem; po chwili za-

czyna znowu płomiennie z natchnionym głosem i ruchem: »Strzeź się wpan rozgniewać go na siebie; stanie się bowiem bardzo potężnym. Ujrzy cały świat u stóp swoich — a pan — daleko, daleko od niego — będziesz królem. — Będziesz królem!« powtórzyła jeszcze raz silnym głosem. W najweselszym humorze wszedł Bernadotte do pomieszkania wróżki, opuścił je w myślach i zadumaniu. — Wróżką tą była sławna Lenormand, zmarła dopiero zeszłego roku. Prawda zaś tego zdarzenia podpada tém mniejszej wątpliwości, iż także jenerał Marque ten wypadek w swoich pamiętnikach przytacza; ani król szwedzki Karol XIV. Bernadotte, ani terazniejszy marszałek Gerard, nigdzie go dotąd nie zaprzeczyli.

Rozpisanie medalu nagrody. Akademija w Rouen wyznaczyła na jedném ze swych ostatnich posiédzeń złoty medal nagrody, wartości 500 franków, za najlepszą pochwalną mowę na zmarłego przed kilku miesiącami poetę Kazimierza Delavigne. Przyznanie nagrody nastąpi w sierpniu 1845 roku.

Rzadki wypadek. Pewien dziennik donosi o szczególnym wypadku, który się zdarzył w Rydze, zaraz po nowym roku. W aptéce Seezena rektyfikuje się terpentyna. Ogień pod kotłem był zbyt gwałtowny; retorta pęka, terpentyna zajmuje się płomieniem; płomień otacza dozorującego człowieka, opala go niebezpiecznie i rozwija straszny, duszający słup dymu, który bardzo szybko po całym domu się rozszerza. Na piérwszém i drugiém piętrze był jeszcze dym niewielki, ale na trzeciém, gdzie właśnie mała córeczka mieszkającego tamże kupca drzwi otworzyła, aby się dowiedzieć, co usłyszany huk znaczy, wali się massa dymu do pokojów, pozostawione otworem drzwi dozwalają tém gwałtowniejszego napływu dymu; matka sądząc, że cały dom w płomieniach, a przeto i schody już się palą i nie są do przebycia, otwiéra nagle okno, woła o pomoc, a będąc jeszcze niepojętym sposobem od zgromadzonych na dole widzów zachęconą, rzuca najprzód swoje ledwie kilkanaście miesięcy liczące dziecię, potem swoję ośmioletnią córeczkę przez okno na ulicę. Na końcu, po daremnych usiłowaniach, aby i swoje najstarsze dziecko, jednastoletnią dziewczynę do skoku na dwór skłonić, chce się sama matka rzucić przez okno, gdy oto w téjże chwili od dwu mężczyzn, którzy się szczęśliwie do pokoju przedarli, ujętą i wraz z najstarszą córką po schodach na dół zniesioną zostaje. Przybywszy na dół, mdleje. A gdy wreszcie przyszła do siebie, padają jéj piérwsze spojrzenia na jéj oboje dzieci, które prawie cudem bożym zdrowo i bez uszkodzenia na ziemię się dostały. Najmłodsze schwycił jeden z sąsiadów zręcznie w powietrzu; starsze padło na rozpostarte futra, które kilku ludzi podtrzymywało, i tak uszło śmierci.

Polowanie na wilki. W tegoczesnych listach z Bukarestu piszą: Doniosłszy nie dawno o powszechném polowaniu na wilki, które tu na rozkaz ministeryjum spraw wewnętrznych wyprawiono, wypada teraz donieść o skutku tegoż. Ubito tedy, podług dotyczących wykazów — 2000 wilków i 300,000 zajęcy. Korzyść, jaka bądź bezpośrednio, to jest: ze sprzedaży zajęcy i wilczur, bądź pośrednio, to jest: przez ochronienie bydła, któreby tyle ubitych wilków pożréć mogło — ztąd dla kraju wynika, liczą na miljon piastrów. Dziwna rzecz tylko, iż lisów, których przecie u nas nie mało, bynajmniej nie wzmiankują. Żałujemy także, iż strzelcy zwrócili, jak się zdaje, głównie swoją uwagę na niewinny ród zajęczy, którego nawet rozporządzenie ministeryjalne nie skarciło wcale za takie wytępienie, pozbawiające niejednego miłośnika sztuki łowieckiéj na długo może ulubionej rozrywki.

Wyzwolenie rzezimieszków. Czasopismo francuzkie »*Le droit*« udziela w swoim feuilletonie historyję osławionej »*Cour des miracles*« w Paryżu, a oraz i historyją band złodziejskich w 13. wieku. Złodzieje tamtych czasów stanowili osobne państwo w państwie, mieli naczelnika, urzędników, stany, ustawy, i jak jeszcze podziśdzień, swój własny język. Jeden z tych naczelników, Thunes, miał nawet osobny ekwipaż, to jest: maleńki wózek z dwoma wielkiemi psami. Umarł w Bordeaux łamany kołem. Urzędnicy mieli właściwe, dziwaczne nazwy. Raz co roku odbywało się zgromadzenie złodziei w »*cour des miracles,*« na którem złodzieje i ich naczelnik wzajemne sobie sprawozdanie czynili. Jeźli naczelnik nie dobrze gospodarzył, tedy składano go z urzędu i obierano innego, który przecież już jakim wyższym dygnitarzem dawniej być musiał. Wzorowy porządek panował w tych zgromadzeniach. Wyżsi urzędnicy byli najczęściej światłymi ludźmi, którzy mieli obowiązek uczyć świéżo przyjętych członków języka złodziejskiego. Był nawet jeden ajent spraw zagranicznych, który rozsełał rozkazy naczelnika po prowincyjach i ścisłego wykonania onych przestrzegał. Ktokolwiek do tego państwa złodziei przypuszczonym być pragnął, musiał najprzód na próbę, która go miała wyzwolić, następne dzieła wykonać: Prowadzono kandydata do pokoju, w którym się pewna ilość mistrów jako świadkowie i znawcy znajdowali, i gdzie od sufitu aż do podłogi wyciągnięty był tęgi powróz. Na tym powrozie wisiał woreczek, opatrzony dzwonkami. Tu więc musiał kandydat stanąć na talerz, zarzucić lewą nogę za powróz, i odrzezać w takiej postawie woreczek u góry powrozu, aby się ani zachwiał na jednéj nodze, ani dzwonków nie ruszył. Przy najlżejszém przekroczeniu prawideł otrzymywał delikwent tęgie cięgi; ale jeźli nawet doskonale spełnił zadanie, bywał przecie obity, nie za karę, lecz z przezorności, aby go zahartować na ciele. Po téj próbie następowała druga. Na jednym z publicznych placów, na przykład na cmentarzu, wskazywali mistrze aspirantowi jaką osobę do okradzenia. I tak, jeźli na przykład dama przed obrazem Matki boskiéj klęczała, a uważano, że miała woreczek z pieniędzmi u pasa, albo cośkolwiek przy niéj ponętnego w oczy wpadło, nakazywali mistrzowie zaraz, aby się wyzwoleniec brał do dzieła. Lecz skoro ten biedak zaczął spełniać ich rozkaz, wtedy wołali oni na przechodzących, pokazując palcem: »Patrzcie, oto złodziéj, który chce okraść tę panią!« Każdy przechodzący zatrzymywał się oczywiście, chcąc się przypatrzyć temu oszustowi. Po spełnioném złodziejstwie rzucali się wszyscy, widzowie i współwinowajcy, na złodzieja, łajali go, bili, gdy ten nieśmiał zdradzić swych współwinowajców, i tak udawać musiał, jak gdyby ich wcale nie znał. Na końcu zrobiło się zbiegowisko, złodzieje hałasowali jeszcze gorzéj od innych, cisnęli się pomiędzy ludzi i wypróżniali ich kieszenie, aż z-nienacka jeden po drugim zniknął.

Sprostowanie.

W Rozmaitościach Nr. 10. w artykule »Guzików,« na samym wstępie, zamiast: w *Saksonii,* czytaj: w *Sanssouci.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.